Rok I. Kraków, 5 lutego 1870. Ner 4.



Czasopismo „Kwiaty“ wychodzi trzy razy na miesiąc, tojest 5, 15 i 25.

INSERATY

przyjmują się za opłatą 4 centów od miejsca drobnego wiersza (petit) z dołączeniem 30 centów na stępel rządowy, od każdorazowego ogłoszenia.

TREŚĆ:

PRENUMERATA:

roczna . . 6 zlr. = 25 frank. = 4 tal. 15 sgr.
półroczna 3 „ = 13 „ = 2 „ 10 „
kwartalna 1 „ 60 cent.

którą posełać należy pod adresem Redakcji „Kwiatów“ ul. Florjańska L. 334.

Reklamacje nieopieczętowane, nieulegają opłacie pocztowej.

SZKICE
Z ŻYCIA ARTYSTÓW.

(Ciąg dalszy).

Był to od niepamiętnych czasów wielki wojewódzki majątek, który niepodzielny z rąk do rąk przechodził, dziedziczony po mieczu albo po kądzieli, i tak się dostał w końcu spadkiem do p. Henryka.

Daleki stryj był opiekunem jego. — Dopóki p. Henryk nie doszedł lat, czuwał choć w oddaleniu nad jego majątkiem i wychowaniem jego — ale z dniem pełnoletności, doniósł mu o tem krótko i zażądał po nim, aby wrócił do kraju i objął majątek, gdyż on nie czuje się nadal powołanym do zarządów jego fortuny.

P. Henryk był wówczas w podróży na wschodzie i nie chciał powracać. Stryj złożył administrację w ręce sądu, a p. Henryk został bez dochodu, więcej roku prawie bawiąc jeszcze za granicą.

Wychowany w innych zupełnie stosunkach, rozumiał, że na znaczne natrafi trudności przy odebraniu fortuny. Za pośrednictwem bankiera swojego, przeprowadził korespondencje z władzami, postanowił pełnomocnika, i rozumiał, że natrafi nie wiem na jakie trudności, zanim znowu do dochodu dojdzie, wysłał tedy pełnomocnika swego do sądu, i rozumiał, że dopiero z przybyciem komornika będzie mógł objąć majątek.

Tymczasem zupełnie inny obrót wzięły rzeczy. Pani Tomaszowa zaintromitowała go bez komornika i sądu, a po tygodniu rządził już całym majątkiem i nikomu nie przeszło nawet przez myśl, aby inaczej być mogło lub żeby jakiejkolwiek sądowej formalności do tego potrzeba było, aby syn dawnych panów objął własność swoją.

Wieść o przybyciu p. Henryka rozeszła się w całem sąsiedztwie, i już drugiej niedzieli zjechało się wiele powozów i bryczek do parafjalnego kościoła, w chęci przypatrzenia się choć zdaleka, nowemu dziedzicowi wielkiego majątku i przyszłemu sąsiadowi swemu.

Pan Henryk siedział przy ołtarzu w kolatorskiej ławce, gdzie dzieckiem jeszcze z matką zazwyczaj siadywał. Widząc jednak, że coraz więcej dam przybywa, ustąpił swego miejsca i siadł za ołtarzem.

Od dzieciństwa nie żyjąc w kraju, nie znał miejscowych zwyczajów i praw kolatorskich. Kiedy więc po sumie ksiądz proboszcz chciał mu podać patynę do pocałowania, a zstąpiwszy ze stopnia ołtarza, obejrzał się wkoło, zdziwił się tem widocznie, że mu znikł kolator. A gdy p. Henryk chwilą później wyszedł z kościoła, i nie wstąpił na plebanją, dokąd zwyczajem przyjętym całe sąsiedztwo po sumie zachodziło na śniadanie, zgorszyli się tem wszyscy bardzo i odrazu w całem sąsiedztwie nie dobrą o nowym dziedzicu powzięto opinję: bo jedni mówili, że się za ołtarz schował, inni, że nie umiał nawet patyny pocałować, a jeszcze inni, że gardzi szlachtą, kiedy nie chciał nawet wstąpić na probostwo i zapoznać się z sąsiedztwem.

— Szkoda, że się taka fortuna w takie ręce dostanie! mówili sobie rozjeżdżając się, i źle p. Henryk stanął w ten sposób odrazu do całego sąsiedztwa.

Kto zna sposób życia i pożycia wiejskiego, domyśli się, że w ślad tej opinji, dały się czuć p. Henrykowi zrazu małe, a następnie coraz większe sąsiedzkie przykrości — bo u nas niema obojętnej drogi, my umiemy się z sąsiadami albo tylko kochać, albo musimy im dokuczać. Nie umiał tego ocenić p. Henryk, nie pojmo-

wał, za co go tyle złej woli spotyka, gdy się sam rządził największem umiarkowaniem, i poczynał się już czasem niepokoić tą myślą, iż trudno będzie tak samotnie pędzić całe życie, a nie widział ani sposobu, ani nawet środka, do dobrego porozumienia z sąsiedztwem.

Dopóki jeszcze było pięknie na świecie, jeździł wiele konno, gospodarzył, porządkował, i był tak zajęty ogrodem, który bardzo polubił, i gospodarstwem, które mu szło po myśli, iż nie czuł się samotnym. Lecz gdy od gór jesienna zawyła zadymka, a po pustym domu zdało się, że się wiatr tylko ugania, wziął z sobą Tomasza i udał się na parę miesięcy do miasta.

* * *

W pięknej sali publicznego gmachu zajaśniał wieczorem cały rząd rzęsisto oświeconych okien.

— Czy tu jest akademja sztuk pięknych? zapytał młody człowiek szwajcara stojącego w okazałej bramie.

— Tu! odrzekł szwajcar, kłaniając się z uszanowaniem.

— A do sali rysunku czy wolny przystęp?

— Jest oświeconą, bo właśnie w tej chwili, jest lekcja rysunku z natury. Wschody na lewo prowadzą do niej, a odźwierny na pierwszem piętrze, wskaże panu drzwi.

— Dziękuję! rzekł młody człowiek — skinął potem ręką na powóz, z którego przed chwilą wysiadł, i pobiegł na wschody. Na pierwszym ustępie wstrzymał się i zapytał sam siebie: „A jeżeli go tu znajdę, czy mam mu się dać poznać?“ — Niepewny co zrobi, nie odpowiedział sobie na to zapytanie — i wstąpił do sali, która kilku gazowemi kandelabrami bardzo silnie oświeconą była.

Na środku tej sali stał nagi mężczyzna atletycznej postaci, i prześlicznej budowy, trzymający w jednej ręce maczugę, a drugą oparty na urwisku skały.

Rzęsiste światło opływało go dokoła i dokoła niego stało kilkanaście małych stolików, za któremi siedzieli uczniowie, jedni z nich mieli oczy wlepione w atletę, drudzy w nauczyciela, który właśnie układał postawę jego, a jeszcze inni przybierali się już do rysunku.

Gdy się drzwi otworzyły i gość nasz wstąpił do sali, nikt nie uważał nawet na niego, a że tam już więcej niemych zastał widzów, tedy skłoniwszy im się z lekka, zajął między nimi miejsce.

— Tak! rzekł po chwili nauczyciel rysunku z natury, ciągle jeszcze zajęty układaniem postawy pięknego atlety, — tak będzie nieźle! dodał z pewnem zadowolnienieniem artysty. Potem obszedł model dokoła, obejrzał go ze wszystkich stron i rzekł: „Macie więc dziś panowie herkulesa w spoczynku! i doprawdy model wzorowy! co za piękna budowa! jaka siła muszkułów! Pokazuje się, że nie przepadły jeszcze modele sztuki plastycznej i dla XIX wieku.“

A po chwili dodał tonem światowego człowieka dosyć żartobliwie: „Tu możecie się panowie nauczyć — jak się z tęgiego serbskiego grenadjera robi herkulesa! Po tych południowych słowianach znać to, że mieszkają w sąsiedztwie dawnej Grecji. Zkąd i zaco się tam jeszcze takie pojawiają postacie? trudno sobie zdać sprawę, ale artysta powinien umieć korzystać ze wszystkiego. Taki model wpół dzikiego słowianina, trochę klasycznych studjów, trochę pracy, lub talentu, a do dwóch godzin będziemy mieli kartony kilkunastu herkulesów. Ten grenadjer nie zasłużył się nigdy lepiej światu, jak dziś w roli herkulesa, bo powołanie tych słowian zdaje się być tosamo w dziejach świata, co karjatyd w sztuce. Wspinajcie się panowie po barkach tego grenadjera do sławy! i torso watykańskiego herkulesa niema wydatniejszej muszkulatury!

To rzekłszy, odszedł nauczyciel na stronę, rzucił się w wygodne duże krzesło, dobył bardzo ozdobnie oprawny almanach z rycinami z kieszeni, i niedbale przerzucał kartki....

Oczy uczniów strzelały naprzemian na model, to padały znowu na papier — a gra różnych namiętności malowała się na ich twarzach....

Jedne wyrażały rozsądną rozwagę, inne zapalały się na chwilę to niecierpliwością, to ogniem — czasem padł tak śmiały kontur na papier, że ołówek pod nim prysnął, czasem gwiznęła guma pod gniewną ręką, chcącą błąd rysunku naprawić.

Nietylko charakter osobisty malował się na twarzy każdego młodego artysty, lecz malowało się zarazem i usposobienie jego pod względem sztuki i usposobienie narodowe.

Niemcy rysowali wolno i z wielką uwagą, z poprawnością nabytą przez wprawę — więcej w tem było rachunku niż sztuki, żadne oko nie zapaliło się ogniem, sfornie szła ręka, czysto padał kontur, i ani chwili nie było wytchnienia w tej pracy, bo jeżeli się oderwała ręka na chwilę, to chyba tylko wówczas, kiedy wzrok padał na wskazówkę zegara, pytając się czy jeszcze dużo czasu zostaje do pracy? czy się rysunek da ukończyć w oznaczonym czasie?

Byli pomiędzy uczniami i Włochy. Poznać ich można było po orlich nosach, po bystrym wzroku, po śniadych twarzach i po genjalnym niepokoju. Ani jeden z nich nie pozostał na tem miejscu, na którem początkowo siedział — ani jeden nie brał się do rysunku, lecz póty przenosił swój stołek i stołeczek, aż po swojej myśli upatrzył sobie stanowisko. Jeden nucił jakąś piosnkę przez nos i patrzał na sufit ozdobiony rzeźbami i myślał o niebieskich migdałach. Drugi zrobił naprędce postać całego atlety ale nie nago, lecz ubraną w mundur tambour-majora, a miasto maczugi herkulesa, dał mu laskę tambour-majora do ręki, i włożył mu czapkę bajaca na głowę. Trzeci zrobił na prędce samego profesora w karykaturze, siedzącego w krześle, a otoczył głowę jego aureolą Świętych Pańskich, a miasto książki którą w ręku trzymał, włożył mu w jedną rękę kawał klasycznego salcesona, a w drugą bułkę, i podał tę karykaturę kolegom, i każdy z Włochów dodał coś do niej własnym konceptem jeszcze. Jeszcze innych kilku przechadzało się w głębi sali, nie rysując wcale....

Byli tam i Polacy — a po tem poznałeś każdego z nich, że siedział jak najdalej od światła i modelu, bojąc się żeby komu nie zajął miejsca, albo nie zasłonił widoku. Na twarzach ich malowała się walka: widoczne to było, że ręka nieposłuszna myśli, że myśl

wybiega daleko po za szranki zadania, lecz że wprawa artystyczna nie może nadążyć za jej polotem. Włochy zmieniali często ołówki, a Polacy kartony.

Na stronie stało dwóch mężczyzn, opartych o ścianę. Nasz podróżny, w którym zapewne nasi czytelnicy poznali p. Henryka, przybliżył się nieznacznie ku nim, bo mu się zdało, iż od nich doleciało go kilka wyrazów ojczystej mowy. W istocie nie omylił się. Polacy mają za granicą ten błąd, iż przekonani, że nikt ich mowy nie rozumie, zwykli nawet po publicznych miejscach rozmawiać nawet dość głośno o rzeczach, któreby nie każdy słyszeć powinien. Tak też i tu się stało:

— Nie rysujesz dziś panie Felicjanie? zapytał jeden drugiego.

— Nie — odrzekł mu tamten, bo jestem tak strudzony że sił nie mam.

— A czemże? zapytał znowu tamten?

— Malowałem dziś przez dzień cały, i jestem tak strudzony, iż nie oparty o ścianę, nie mógłbym stać o własnej sile.

P. Henryk nie wątpił już ani chwili, że odszukał wkońcu przyjaciela swojego dzieciństwa — i przeszedł w drugą stronę sali, bojąc się, żeby się nie zdradził, a pragnąc przypatrzyć się tem swobodniej twarzy Felicjana.

Jakoż teraz wydały mu się rysy tej twarzy znajome. Postawa Felicjana była szlachetna, ruchy jego ciała łagodne, a nawet wytworne, twarz dziwnie blada, ale ani zniszczeniem sił żywotnych, ani słabością bledniejąca, lecz tą siłą i pracą ducha, która kosztem ciała żyje, i rysy twarzy uszlachetnia, i kontur twarzy wydatnym czyni, jak gdyby w rzeźbie na medalu. Ubiór jego był skromny, prawie ubogi — ale czysty, cała postawa wradzała mimowolnie jakieś współczucie i uszanowanie.

Gdy godzina dobiegała, powstał nauczyciel z swego krzesła i rzekł poważnie obszedłszy wszystkie stoliki do około, i obejrzawszy wszystkie rysunki z kolei:

— Moi panowie, zawsze natrafiam tutaj na tesame zalety i na tesame niedostatki.

I tu rzekł naprzód do Niemców: Wiele precyzji, prawdziwie akademickie studja, ale — ale, tu się zaciął trochę — więcej ognia! więcej wymowy! skrzydeł choć na chwilę! a będzie dobrze.

Potem obrócił się do Włochów i rzekł: Tu trzebaby znowu nożyc na przycięcie tych skrzydeł! Ten herkules nie spoczywa, ale leci i tańczy. Są to jakieś reminiscencje z weneckiego karnawału. Panowie jesteście gienjalni ludzie, ale nie artyści, tylko gienjalne djabły! Taka manjera bardzo dobra do karykatur, ale nie do klasycznych studjów — tu potrzeba wykończenia i klasycznego spokoju.

W końcu przeszedł do Polaków i poprawił nawet jednemu z nich rysunek i rzekł: A co z panami, to zawsze tasama historja; wysokie pojęcie sztuki i przedmiotu, zawsze podobieństwo ogromne, wiele życia i ruchu, ale zawsze fałszywy rysunek! Gdyby rozprawami można rysować i malować, to z panów byliby najwięksi artyści w świecie, ale dotąd nie znałem jeszcze Polaka, coby rysować umiał, coby miał potrzebną szkołę i wniósł do akademji elementarne przygotowanie. Takto sprawdzają się słowa Göthego: „Pomyślano o tem w świecie, aby drzewa nie wzrosły do nieba.“

Tu spojrzał na zegarek, skłonił się poważnie dokoła, i wyszedł.

Pan Henryk nie spuszczał z oka Felicjana i szedł za nim krok w krok, wzdłuż ulic rzęsisto oświeconych gazem i jaśniejących wystawą bogatych i wytwornie ustrojonych sklepów.

Towarzysz Felicjana miał jasny kapelusz — i za tym punktem świecącym kierował Henryk swoje kroki, śledząc wzdłuż krętych ulic i placów poprzedników swoich. W tem wstąpili obadwa do domu, którego sienie były oświecone, i weszli do restauracji, a Henryk wstąpił za nimi po chwili do dużego gościnnego salonu i zajął miejsce w bliskości obudwu.

Felicjan przeciągnął się na krześle, i oparł głowę o ścianę. W całej jego postaci znać było moralne i fizyczne wysilenie. Towarzysz jego patrzał chwilę spokojnie na niego i rzekł potem:

— Jesteś widocznie znużony, najlepiej będzie, jak się czem posilisz, to elastyczność ducha powróci znowu. Już dziś nie odmówisz mi, są to urodziny moje i odszukałem cię w akademji, aby przynajmniej wieczór dnia tego spędzić z duszą poczciwą. Nim nam co zrobią, napijmy się wódki — a mam ciekawe rzeczy dla ciebie. Wiesz o tem, że znam się z sekretarzem ambasady rosyjskiej, widuję się z nim w słowiańskiej kawiarni, i czy uwierzysz, żem z nim wczoraj cały wieczór przegadał o tobie, i osobliwe dał mi wyjaśnienia gdy się rozgadał, chociaż go nie prosiłem o to.

Tu podano wódkę, przekąskę i cygara. Po wódce zapalono cygara, a Henryk zwrócił większą uwagę na tok ich rozmowy.

— Nie bywam u ciebie, mówił solenizant, bo mieszkasz pod niebem, ale dziwna to jakaś historja, którą sobie o tobie od niejakiegoś czasu ludzie podają. Razem z tobą ma mieszkać od pewnego czasu człowiek wiekowy — otóż powiedz mi krótko mój Felicjanie, kto to jest ten zagadkowy człowiek?

Felicjan był widocznie zmięszany — namyślał się chwilę i rzekł w końcu:

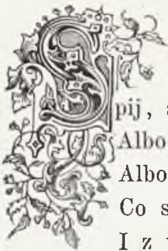
— Jest to prawdopodobnie mój ojciec.

— Jakto prawdopodobnie? zapytał z zadziwieniem solenizant.

— Opowiem ci całą rzecz, a osądzisz sam. Przed dwoma laty, wkrótce po przybyciu mem do Wiednia, widywałem przy obiedzie często człowieka, który mi się wydawał jakimś agentem ale nie wiem czyim. Markier, który nam Palakom usługiwał i był nam bardzo życzliwy, ostrzegł nas, aby się z tym człowiekiem nie wdawać w rozmowę. Wiemy co podobne ostrzeżenie w Wiedniu znaczy. Zdarzyło się jednakowoż tak, żem się z nim raz późno sam na sam zeszedł przy wieczerzy. Nie mogłem mu zejść z drogi, przysiadł się do mnie, i z wielką życzliwością począł rozmawiać. Ale czybyś uwierzył o co mnie pytał, wypytywał mię o imię mego ojca, o imię mojej matki, o rok mego urodzenia i o przeszłość rodziców moich.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Nad grobem dziewicy.



pij, spij dziewico, coś jak jasna gwiazda,
Albo jak kwiatek rozkwitała wdziękiem,
Albo jak ptaszek wschodni kraśnopióry —
Co się od matki swojej wyrwał z gniazda —
I z pieśnią tęskną z pieszczotliwym dźwiękiem,
Leciał próbować swych skrzydełek w chmury.

Czemu zagasłaś jak ta gwiazda czysta,
Co się tak często w noc listopadową
Wyrwie z swej drogi i leci, i leci....
Jasno, to znowu w swojem świetle mglista,
Łukami przestrzeń pruje lazurową,
I gasnąc, jaśniej jeszcze ją oświeci?

Gwiazda zagasła, cóż po niej zostało?
Mgły świetlnej trocha, lub kilka kamieni,
I tyś zagasła dziewico, aniele,
Martwe twe piękne jak rzeźbione ciało,
Ale nie zgasło twoje boże tchnienie,
Co w twojem sercu grało jak w kościele.

Co w twojej głowie, jak w Pańskiej świątyni
Myśl boża z twoją pieśń twórczości grała;
Ta myśl, to tchnienie co świeciło w tobie.
Ono nie zgasło — to nie na pustyni
Ognik, lub gwiazda, co jaśnieć przestała,
Lecz to duch — jedność co w twojej osobie

Dotąd grał pieśnią, aż wielka tęsknota
Tej jego formy, tak cudnej harmonją,
Nierozstroiła i snem nie obwiała,
Dotąd, aż nieba odemknięte wrota
Słowem Wszechstwórcy, aniołów symfonją
Tej pieśni z ciała pieśnią nie wyrwała.

Spij o! spij Annjo, coś jak lilji kwiatek,
Wzrosła jak lilja niewinna i święta,
I coś jak ona umarła o wiośnie;
Spij, na twem czole kraśnieje bławatek,
A nad twym grobem wierzba rozwinięta,
Płaczem ci kwili i śpiewa radośnie.

O! gdyś ty w sercu miłość obudziła,
I gdyś to kocham pierwsze niekłamane
Wyrzekła wstydem dziewiczym skraszona,
Najmuzyczniejsząś wtedy Annjo była,
A twoje słowa jak dźwięki harfiane,
Lały pieśń wzniosłą z dziewiczego łona.

Spij, o! spij Annjo! wśród zimnych marmurów,
Jutro kochanek w twoim uśnie grobie,
Lecz jutro, jutro jeszcze tak daleko,
Jeszcze mu wieńca nie dali z laurów,
Aby mógł jaśnieć z kwiatami przy tobie,
Aby go wspólnej kryło trumny wieko!

Henryk Hugon Wróblewski.

MIŁOŚĆ MAŁŻEŃSKA.

(Szkic historyczny).



Warszawie r. 1646, 20 maja, w pałacu Ossolińskich, niezwykły ruch panował, huczna kapela rozlewała tysiące tonów, a promienie rzęsistego światła i pochodnie licznego grona węgrzynków, uwijających się w dziedzińcu, w radosną łączyły się harmonję. Ślub tonów i promieni, niby zaślubiny sławy i miłości.

W pałacu gody weselne.

Wśród tłumu gości, na tle ruchliwej, wesołej ciżby, dwie główne postacie się zarysowały: Urszula Ossolińska i Samuel Kalinowski. Urszula, córka Jerzego, kanclerza wiel. kor. za króla Władysława IV, sławnego poselstwami w Rzymie, Wenecji, Londynie i na dworze cesarskim, co z rąk cesarskich otrzymał godność książęcia państwa Rzymskiego — promienieje pięknością, uderza blaskiem lic swoich, natchniona uczuciem miłości. Samuel Kalinowski, syn hetmana polnego kor. Marcina, starosta Bracławski, a później oboźny koronny, pan miljonowy, dziedzic Husiatyna, Tulczyna, Niesterwaru, starostw: Bracławia, Czernichowa, Łojowa, Lubeczy i Litynia, młodzieniec głośny z bohaterstwa na Kresach, którego Paweł Potocki, mimo jego młodego wieku umieścił w swem dziele: *Centuria illustrissimorum virorum*, między najznakomitszymi mężami.

Grzmi muzyka, przesuwają się strojne pary — a kochankowie marzą. Może upojeni zbytkiem szczęścia, ziszczeniem się nadziei, przeczuciem nieba. Samuel zatapia wzrok w oczach kochanki — małżonki, całą myślą swoją i pragnieniem, z lubym dreszczem niepokoju wchłania się w jej łono, jakoby pytał się: czyliż chwilę tę zdołamy rozszerzyć do nieskończoności — a w odpowiedź otrzymuje uśmiech, i mowę ócz. Nie mówić a rozumieć się, jak to szczytnie — jak miło wstępować w dziedzinę duchów — kochajcie, szybujcie w błękitach. Streszczenie wszechświata w jednej istocie — słowa Wiktora Hugo — rozszerzenie jednostki aż do Boga — to miłość. Gdy miłość stopiła i zmięszała dwie istoty w jedność anielską i świętą, oboje znaleźli tajemnicę życia i są już tylko dwoma kształtami jednego losu, i są już tylko dwoma skrzydłami jednego ducha.

Kochankowie marzą — a tysiące puharów krąży na ich cześć, kochankowie oczami wyznają sobie miłość, a sala weselna brzmi okrzykiem: kochajmy się!

W starych żyłach rozgrzewa krew wino — dla młodości wystarczą zachwyty miłośne. A siła tych pragnień tak potężna, a ciepło tak tajemnicze, że wdziera się do cudzych piersi, przenika na wskroś świadków szczęścia i wywołuje słowa: Niechaj żyje para młoda!

Można upajać się szczęściem innych.

* * *

Na kresach nietylko wilki i tatarzy grasują — ze zbrodni polskiego szlachcica i zgliszczów spalonego domostwa wylągł się upiór, na imię mu Bogdan Chmiel-

nicki. Nie Arkadja to tedy miłośna, kędy powiózł Samuel swoją małżonkę. Dwór państwa oboźnych Husiatyn nad Zbruczem, leży nad szlakiem wołoskim, prowadzącym od Zienkowic na Skałę i Buczacz ku ziemi lwowskiej, — jestto jeden z trzech szlaków, po których uwijają się Tatarzy, a od buntu Chmielnickiego i Kozacy. Już w drugim roku pożycia małżeńskiego, przyszło p. oboźnemu opuścić młodą małżonkę i dom, by swą pierś w obronie granic rzeczypospolitej, nastawić na łuki tatarskie i rusznice kozackie.

Początek wojny był nieszczęśliwy, kozacy pobili naszych pod Żołtemi wodami, kędy Potocki syn hetmański i pułkownicy: Czarniecki i Sapieha popadli w niewolę. Na domiar nieszczęścia umiera w tym czasie Władysław IV, bezkrólewie jak zwykle pociągnęło za sobą nieład, nieład klęskę pod Korsuniem, gdzie hetman wielki Potocki i hetman pol. kor. Kalinowski, ojciec Samuela, dostali się w jasyr, z którego dopiero po kilkunastu miesiącach wykupieni zostali.

Wśród tych klęsk uwijał się ciągle nasz Samuel na polu walki, jako oboźny walczył pod Piławcami, był czynnym w oblężeniu Zbaraskiem, zamknięty przez kilka miesięcy w Kamieńcu podolskim, szturmuje później do twierdzy kozackiej Winnicy, staje na piedestale bohaterstwa w bitwie kilkudniowej pod Beresteczkiem, gdzie 110,000 naszych zwycięża 300,000 Kozaków i Tatarów pod wodzą Bogdana Chmielnickiego, a które to zwycięztwo drogo okupione zostało śmiercią Lanckorońskich, Kazanowskich, Stadnickich, Jordanów, Ligęzów. Tamże poległ Jerzy Ossoliński, syn kanclerza, rodzony brat pani oboźnej, ostatni potomek męzki swojego domu. Z sławnej rodziny Ossolińskich zostały tylko trzy córki: Tekla za Aleksandrem Lubomirskim wojewodą krakowskim, Anna Teresa za Zygmuntem Denhofem starostą sokalskim i nasza pani oboźna.

Drogo tedy okupione zostało zwycięztwo pod Beresteczkiem, ale położyło tymczasowo koniec wojnie pokojem w Białejcerkwi.

Teraz mógł pan oboźny wrócić do swej małżonki i zacisza domowego, by opłakiwać zgon brata pani oboźnej.

* * *

Z cierni i kwiatów, z dni radośnych i smutnych uwity jest ludzki żywot. P. Oboźny nie mógł bezpiecznie używać rozkoszy rodzinnego życia. Pokój wprawdzie zawarto, ale cóż on znaczył, gdy innych w przeszłości dosyć ułożono, a mimoto najazdy tatarskie zawsze się powtarzały.

W tym okresie szczególniej Tatarzy nie mieli się ku pokojowi, zachęcani i wzywani ciągle na pomoc przez Chmielnickiego. Dlatego pokój w Białejcerkwi był w rzeczywistości tylko chwilowem zawieszeniem broni, wypoczynkiem, którego długotrwałości spodziewać się nie można było. P. Oboźny wskutek tego szukając bezpieczeństwa dla swej drogiej Urszuli przed możliwemi nieszczęściami wojny, przeniósł swój dwór do Kamionki, jednej z mniejszych posiadłości leżących poza Strypą. Nadto dwór pana oboźnego powiększył się o jedną osobę, przybył bowiem Glinka medyk a stary dworzanim Ossolińskich, osierocony z swych panów śmiercią kanclerza i jego syna Jerzego poległego pod Beresteczkiem, jak powyżej wspomniano. Żałoba w zupełności zapanowała na dworze oboźnego, a tu wkrótce na nowo trzeba było wyruszać w pole. Na jedno serce niewieście, za wiele było naraz rozstawać się z bratem, i żyć w niepewności i ciągłej trwodze o życie męża.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD LITERACKI.

(*Pogadanki o literaturze węgierskiej. — Przypomnienie o „Pamiętnikach księcia Ogińskiego.“ — Wykazy dzieł czeskich*).

— *Pogadanki o literaturze węgierskiej.* Zabierając się do pomówienia o literaturze węgierskiej, czynię to ze szczególną sympatją dla przedmiotu, o którym mówić mi wypadnie. Nic dziwnego, polskość, idea niepodległej Polski, bratały się zawsze i bratają z magyaryzmem, z ideą niepodległych Węgier.

W przeszłości łączyły nas z Węgrami dynastje królów, i krew wspólnie za jedną przelewana sprawę. W pracy na przyszłość, prawie na jednej stykamy się drodze. Naród węgierski, wdarłszy się w środek Słowian zakarpackich, zdołał siłą zmysłu politycznego i inteligencją, zdobyć sobie hegemonję i ująć ster rządów, śród narodów słowiańskich do korony św. Szczepana należących. Słowianie, że tak powiem, węgierscy, rozdzieleni na kilka drobnych narodowości, za mało mają siły do wydarcia steru z węgierskiej ręki, a zadowoleni udzieloną im automją, zlewają się z napływowym szczepem węgierskim w pewną całość, tworzącą kraje korony św. Szczepana. Węgrzy, w takim stosunku, w jakim obecnie do Słowian pozostają, nie są żadnym sposobem wrogiem Słowiańszczyzny, owszem są punktem oparcia dla drobnych narodowości słowiańskich, które osobnych państewek niepodległych, wytworzyćby niemogły.

Węgrów największym wrogiem jest panslawizm, który na swym sztandarze wywiesiła Moskwa.

Jakkolwiek panslawizm jest utopią taksamo, jak utopią byłoby marzyć o zlaniu się narodów romańskich, lub germańskich w jedną całość, jak śmiesznością byłoby żądać, aby Szwedzi, Duńczycy, Anglicy i t. d. przestawszy być sobą, stali się niemcami przedchrześciańskich czasów, to jednak idea panslawizmu, zyskuje zwolenników, można powiedzieć w całej Słowiańszczyznie, z wyjątkiem Polski.

Z jednej strony, drapieżna chciwość zaborów moskiewskiej polityki, z drugiej strony brak zmysłu politycznego i liczebna słabość pojedyńczych narodowości słowiańskich, mimowoli podają sobie ręce, by wymarzonego dokonać dzieła. Słowiańszczyzna południowa, bez cywilizacji, rozdrobniona na małe narodowości, przygnieciona tureckiemi rządami, czuje bezsilność swoją. — Bułgarzy, lub Serbowie, niemogąc być silnymi jako tacy, chcą być silnymi jako Słowianie. Również i Czechowie zaczynają hołdować panslawizmowi, czując, że nieliczni, a geograficznie nieszczęśliwie śród Niemców położeni,

samodzielnie utrzymać się niemogą. Niemogąc tworzyć państwa czeskiego, wolą do silnej należeć Słowiańszczyzny.

Już w pierwszym numerze „Kwiatów," miałem sposobność zwrócić uwagę czytelników na tę okoliczność, że jedynie nasz naród w całej Sławiańszczyźnie, ma wszelkie dane po temu, by polityczną stanowić całość. Jesteśmy dość liczni i silni jako Polacy, więc niepotrzebujemy dla zdobycia siły rozpływać się w Słowiańszczyznie i poświęcać odrębności narodowej, dla uzyskania oparcia na panslawizmie. Ztąd też idea panslawizmu, jest wrogim polskości. Polskość i magyaryzm, przeciwko panslawizmowi wspólnie walczyć muszą; a walkę tę pierwej czy później podjąć wypadnie przeciw reprezentantce panslawizmu, Moskwie. Pewnie w jednym z Węgrami znajdziemy się obozie.

Wspólność nieprzyjaciela, wspólną rodzi przyjaźń.

Po tych słowach — sądzę, to, co następuje, życzliwego dozna przyjęcia.

Język węgierski, powinienby zwrócić szczególniejszą na siebie uwagę z tego powodu, że nie należy do żadnej grupy języków europejskich, a będąc odłamem mongolskiego narzecza, w najzupełniejszej czystości przechował się do dziś dnia, uniknąwszy szczęśliwie wszelkiego skażenia obczyzną. — Język ten, na pozór twardy, nie jest bez pewnego wdzięku i dźwięku, do czego jego szczególna przyczynia się akcentacja. Obok wielu innych właściwości, język węgierski i tę jeszcze posiada, że nie rozpada się na żadne dialekta, że wymowa jest wszędzie i u wszystkich jedna i tażsama. Ten sam język, tę samą wymowę usłyszymy w salonie, co i w chacie, tak samo mówi człowiek inteligentny, jak wieśniak bez wykształcenia. — W wyrobieniu się języka węgierskiego, widzimy pewną samodzielność, oryginalność.

O literaturze powiedzieć tego nie możemy, bo w najnowszych dopiero czasach, wyzwoliła się od obcych więzów, w jakie przez naśladownictwo popadła.

(Dalszy ciąg nastąpi).

— *Przypomnienie o pamiętnikach księcia Ogińskiego.* Wypadki w dziejach naszych w końcu XVIII i początku XIX wieku, licznych znalazły ludzi, którzy bądź dla własnej pamięci, bądź w celu przekazania rodzinie lub narodowi wiernego obrazu ich współczesnego czasu, skrzętnie je zapisywali.

To też do dziejów ostatnich lat, mamy liczne pamiętniki, a pomiędzy pierwsze bez zaprzeczenia zaliczyć trzeba, pamiętniki ks. Michała Ogińskiego: *Mémoires de Michael Ogiński sur la Pologne et les polonais depuis 1788 jusqu'a la fin de 1815*, tomów 4. Autor ostatni podskarbi litewski, urodził się r. 1765, z sejmu r. 1791 poseł do Holandji; potem był miecznikiem litewskim, mianowany podskarbim w r. 1793 sprawował ten urząd do r. 1794. W czasie wojny tego roku, utworzył strzelców konnych, których był szefem i dowodził nimi osobiście w kilku bitwach. Po upadku sprawy, czynny miał udział w pierwszej emigracji Polaków r. 1795 do 1801 we Francji i Włoszech. Za utworzeniem cesarstwa francuzkiego, udał się do Petersburga, został senatorem i wielkiej używał wziętości na dworze cesarza Aleksandra I. Ztamtąd wyjechał za granicę, osiadł we Włoszech i tam umarł we Florencji w r. 1833.

Pamiętniki Ogińskiego tłumaczone były na język niemiecki dwa razy, raz przez Fryderyka Gleich (Lipsk 1827 w 2ch tomach), a powtórnie w zbiorze pod tyt.: *Bibliothek ausgewählter Memoiren des 18 und 19 Jahrhund. 1845*, 3 tomy. Niemcy nas zawstydzili, gdyż nie posiadamy żadnego tłumaczenia polskiego. Mamy z pewnego źródła wiadomość, że rękopism tłumaczenia jest w całości i od dwóch lat czeka nakładcy. Czas, by ktoś się znalazł. Tymczasowo jednak dopóki się nie ukażą, będziemy kiedy-niekiedy podawać krótsze a ciekawsze ustępy, chcąc w części przynajmniej obznajomić z treścią tych ważnych pamiętników.

— Uzupełniając poprzednie wykazy, podajemy dziś wiadomość o kilku dziełach literatury czeskiej.

„Starozitností a památky zeme české," zebrali Mikowec i Zap, z rysunkami Hellicha i Kandlera. Zeszytów 36.

„Kronika práce, oswety, proumyslu a nalezouw" przez Jahna i prof. Pokornego z licznemi rysunkami.

„Slovnik naučny" (encyklopedja powszechna) pod redakcją Dr. F. Riegera, w zeszytach trzech tygodniowych.

„Knihopisny slovnik česko-slovensky." Jestto spis książek, drobnych rozpraw, map, rzeczy muzycznych wyszłych od r. 1774—1863.

„Shakespeare'a" 21 dzieł dramatycznych, w czeskiem tłumaczeniu różnych autorów.

„O Koperniku, slavném polském hvíezdaři," přelozil a spolu i s polskym oríginalem (Brodzińskiego), wydal F. J. Jezbera.

Szczupłe ramy naszego pisma, nie pozwalają nam wymieniać szczegółowo, wszystkich znakomitych publikacji czeskich.

Tu nadmienić jeszcze musimy, że wyszły słowniczki czeskie dla rzemieślników wszelkiego rodzaju. Są tam słowniki szewskie, krawieckie, bednarskie, rolnicze itd.

Celem tychże, jest oczyszczenie języka z wyrażeń obcych, a zastąpienie ich swojskiemi. Czesi w tej mierze dalecy są od wszelkiej tolerancji, a żaden wyraz obcy, nie może u nich znaleść prawa obywatelstwa, tak jak u nas, gdzie na każdym kroku spotkać się potrzeba z obczyzną.

Sztuka dramatyczna, rozwija się, a stosunkowo więcej niż u nas, bo Czesi mają trzy duże teatra i kilka prowincjonalnych, dla ludności, która zaledwie jedną czwartą część ludności polskiej stanowi.

Oprócz komedji, przedstawiają narodowe dramata i tragedje Tyla, Halki, i Kollara. Oprócz sztuk oryginalnych, przedstawiają tłumaczenia z polskiego Fredry, Korzeniowskiego itd.

Oprócz tego, „Matica česka" — wydaje szereg dzieł popularnych, ze wszystkich gałęzi nauk. Wydawnictwo „Maticy" obejmuje wszystko, począwszy od gramatyki, słowników — a skończywszy na ekonomji politycznej i dziełach historycznych i filozoficznych.

Dzieła tego wydawnictwa, można powiedzieć, z chciwością pochłania naród czeski, zamiłowany w czytaniu, przez czytanie światły i politycznie dojrzały.

PYTANIA I ODPOWIEDZI.

— *Djabeł wenecki.* Zkąd powstało to przysłowie? ma ono źródło swego pochodzenia z zagranicy, czy też zrodziło się ze stosunków miejscowych. Za pierwszem przemawia wiele. Wszystko co przychodziło z Włoch, budziło u nas wstręt. Powstawało to w skutek osobistości, charakterów przewrotnych, bądź posądzanych o przewrotność. Dość tu wymienić Kallimacha, z nazwiskiem którego wiąże się w pamięci ludu klęska Bukowińska i Bonę, intrygantkę, uwożącą skarby z kraju, a z wspomnieniem której, połączyła się śmierć Barbary i zalanie kopalni Olkuskich. Djabeł wenecki znaczyłby tyle co włoski. Wenecja dostarczała nam towarów i wyrobów zagranicznych, a na zbytki obruszał się zawsze zdrowy zmysł narodu.

Linde w Słowniku (I. 424) inaczej tłumaczy. „Djabeł wenecki bądź od maszkar zapustnych weneckich; bądź to, co kartezyańskie djabły (zabawki fizykalne, osóbki szklanne, zanurzające się w wodę), że po wsiach kupują się od włoskich kramarzy.“ K. W. Wójcicki w „Przysłowiach“ (I. 213) powtarza tylko słowa Lindego. Tłumaczenie to także w części da się usprawiedliwić, słysząc i dziś lud nazywający podobne towary figlami niemieckiemi. Według więc tego djabeł wenecki byłby symbolem wszystkiego co zagraniczne, a u nas zbyteczne albo nawet szkodliwe. Jeżeli jednak weźmiem pod uwagę słowa Długosza (X. 107—108): „Przybył król Władysław Jagiełło z królową Jadwigą do Wielkopolski, aby uśmierzyć grasujące tam rozruchy domowe. A pogodziwszy zwaśnionych ukarał król Jana, Krwawego Djabła, dziedzica Wenecji *(Joannem Krwawi Djabeł haeredem de Venetiis)* sędziego poznańskiego, który dla swoich bezbożnych postępków i złoczyństw, krwawym djabłem był zwany. Wyroki i uchwały, któremi on wielu sprawiedliwych i niewinnych wyzuł z posiadłości dziedzicznych, zostały unieważnione, a on sam mnogiemi okrucieństwami skalawszy się, utracił za karę wszystkie dobra dziedziczne i wsadzony był do więzienia, w którem nie mało lat przesiedział.“ Dalej słowa Kromera (Hist. wyd. Bazyl. 1568 str. 242, który zwie go tylko Janem weneckim *Joannem Venetium)* — wreszcie opierając się na „Wspomnieniach Wielkopolski“ Raczyńskiego (II. 378) w których włączony rysunek przedstawia ruiny zamku nad jeziorem Wenecji w Wielkopolsce w województwie gnieźnieńskiem, zajmowany za panowania Ludwika węgierskiego albo właściwiej mówiąc za jego nieobecności, przez potomka rodu Nałęczów, Jana, dziedzica Wenecji a więc weneckiego.

Był on sędzią ziemskim, której to władzy sromotnie nadużywał, odzierając biedną szlachtę i frymarcząc sprawiedliwością. Zbrodnie jego mają miejsce za Ludwika a sięgają czasów Jagiełły, za którego to w pierwszych latach panowania zostały ukrócone.

Ile nadużyć panowało w sądownictwie w tym czasie, i o ile ludzie niegodziwi a piastujący urząd sędziowski, mieli swobodne pole do zdzierstw, nie trudno pojąć ze słów współczesnego archidyakona gnieźnieńskiego, Jana z Czarnkowa. „Nikt wówczas nie zdołał uzyskać sprawiedliwości. Jeśli bowiem kto odwoływał się do króla, tedy jego zastępczyni w Polsce, matka królewska, odsyłała go do syna w Węgrzech, a ten wzajem do królowej matki w Krakowie. (Sąd ten o królowej-matce łagodzi Szajnocha w dziele „Jadwiga i Jagiełło). Aż wreszcie znużeni temi zwłokami ludzie, zaprzestawali zgoła dalszego poszukiwania sprawiedliwości, opiece i miłosierdziu bożemu sprawy swe poruczając. Wtedy to dopiero słyszałeś płacz i żałość i lament, i niewysłowione narzekania po stracie sprawiedliwego króla Kazimierza!“

Na tem to tle historycznem, uwija się postać Jana weneckiego zwanego Djabłem. W niegodziwościach swych, przewyższył całą czeredę innych grabieżców — zyskał sobie sławę nieśmiertelną w pamięci ludu. Sława zaiste godna Herostrata. Inne tłumaczenia tego przysłowia, nie są nam znane.

KRONIKA I ROZMAITOŚCI.

(Teatr. — Bal 26 stycznia. — Odezwa z Poznańskiego).

— *Teatr.* W krótkim przeciągu czasu, dwa razy na scenie naszej ukazał się „Kupiec Wenecki.“ — Pierwszy raz Shyloka grał p. Richter, zaś 26 z. m. p. Rapacki. Lubo lat poprzednich widzieliśmy tego ostatniego w tej roli, jednak mając świeżo w pamięci wyborną grę p. Richtera, z tem większem zajęciem spieszyliśmy do teatru, by tych dwóch artystów porównać z sobą w jednej i tej samej roli.

Nie wiemy dla czego, ale p. Rapacki nietylko o wiele gorzej grał od p. Richtera, ale gorzej od siebie samego. Nie był to ten żyd zawzięty, jakim stworzył go autor! P. Rapacki tym razem zrobił z Shyloka postać mdłą, bez żadnej wybitnej cechy — grał jakby mu się grać niechciało, gotował się i nóż ostrzył do wyrznięcia funta mięsa kupcowi Antonio tak, jak gdyby nie ludzkie ciało miał tym nożem krajać. — Zanadto znanym jest talent tego artysty, byśmy przypuszczać mogli, że roli nie pojął; zresztą dawniej dowiódł p. Rapacki, że wie jakim powinien być Shylok! Zkądże więc to nieudanie? Zdaje się że p. Rapacki chciał być wielce różnym od p. Richtera, a co go zawiodło, i na niekorzyść przedstawienia wypadło.

Z prawdziwą przyjemnością zdajemy sprawę z przedstawienia tragedii Calderona „Lekarz swojego honoru“ — odegranej 29 z. m. na dochód p. Ładnowskiego syna. — Rozbiór sztuki pozostawiamy pismom ram obszerniejszych, tu tylko powiemy, że przedstawienie należało do najlepszych w tym kursie. — P. Ładnowski (syn) z każdym dniem składa jawne dowody swego talentu i pracy! zadanie miał nader trudné, a jednak jakże szczytnie z niego się wywiązał! Ustęp aktu 2go w którym mówi o szóstym zmyśle, jest niezaprzeczenie najtrudniejszym, a ileż tam było prawdy, siły, czucia!..... Dwukrotne wymówienie słowa „biada“ w tym ustępie, jest dostatecznem, by osądzić jak p. Ładnowski głęboko całą wartość tego ustępu zrozumiał, zaś monolog aktu 3go i scena zabicia się, w niczem nie ustę-

powała scenie, o której wyżej wspomnieliśmy. Rzęsiste oklaski i kilkakrotne przywoływanie po każdym akcie, były wymownym objawem uniesienia publiczności, jak i wybornej gry artysty! — Pani Hoffmann, połowę laurów zabrała p. Ładnowskiemu — inni artyści grą swoją przyczynili się do doskonałości przedstawienia.

— *Bal.* Dawno Kraków niepamięta tak świetnego balu, jak bal na korzyść Syberyjczyków, wdów, sierot i kalek z r. 1863 i 1864, który się odbył w sali hotelu saskiego dnia 26 z. m. — Wszelkie wymagania zadowolnionemi zostały w całości!... było wszystko!... Wdzięki płci pięknej, a że pięknej nikt niezaprzeczy, świetność i elegancja toalet, niezwykła w Krakowie mnogość osób, ochoczość, swoboda, mówimy tu o swobodzie towarzyskiej, bo swoboda poruszania się często przez natłok wstrzymaną bywała. Tak więc cel uwieńczony został skutkiem — bawiono się, tańczono do 4tej rano, i jest znaczny czysty dochód, bo coś nad półtora tysiąca złr.

— *Odezwa z Poznańskiego.* Komitet zawiązany celem wybudowania gmachu teatralnego dla stałej sceny polskiej w Poznaniu, wydał następującą odezwę:

Do rodaków pod panowaniem austrjackiem.

Uważając scenę narodową za jedną z najgłówniejszych dźwigni utrzymywania życia polskiego w Poznańskiem, życia zagrożonego zalewem sąsiedniego pierwiastku, jeśli mu się wcześnie a gorliwie nie przyjdzie w pomoc, zawiązali się niżej podpisani w komitet, który sobie wziął na zadanie zebrać potrzebne fundusze na wzniesienie gmachu teatralnego w Poznaniu.

W przekonaniu, ziomkowie galicyjscy, że porówno z nami pojmujecie doniosłość podjętego przez nas dzieła i że razem z nami uznajecie w niem przedsięwzięcie nie miejscowego, nie prowincyjnego, ale narodowego prawdziwie znaczenia, — odwołujemy się, otwierając składki na zbudowanie teatralnego gmachu w Poznaniu, i do Waszej ofiarności i gotowości patrjotycznej.

Jesteśmy silnie przeświadczeni, że zaufanie, jakie w Was pokładamy, nie dozna zawodu. Posłuszni i uważni na każdy głos narodowego wezwania, z Waszych stron nas dochodzący, jesteśmy aż nazbyt pewni, iż i nasze wołanie sympatyczny w sercach Waszych znajdzie oddźwięk. Raczcie tedy spieszyć z Waszemi ofiarami według sił i możności ku poparciu tak ważnego, ale trudnego i mozolnego dzieła, jakie podjąć uważaliśmy za rzecz obowiązkowości obywatelskiej.

Redakcje pism galicyjskich pozwalamy sobie prosić zarazem uprzejmie, aby niniejszą odezwę naszą powtórzyć i w biurach swych składki na tenże cel otworzyć zechciały.

Poznań, 21 stycznia 1870. Adolf hr. Bniński, Stanisław Chłapowski, Leon Czarliński, Ignacy Grabowski, dr. Bogdan Jarnatowski, Antoni Kalkstein, Antoni Krzyżanowski, Stefan hr. Kwilecki, dr. Karol Libelt, Mieczysław Łyskowski, Władysław Łącki, dr. Teofil Matecki, Seweryn hr. Mielżyński, Bolesław Potocki, Józef hr. Potulicki, Antoni Raczyński, August książę Sułkowski, Konstanty Sczaniecki, Leon Śmitkowski, Władysław Taczanowski, Zbigniew hr. Węgierski-Kwilecki, dr. Zielewicz, Teodor Żychliński, redaktor.

SZARADA.

Pierwsza płynęła i płynie
W uroczej włoskiej krainie.
Drugą, kiedy kto posiada,
Nad wielu innemi włada.
A wszystkiego trudno przecie,
W nieszczęściu znaleść na świecie.

Znaczenie szarady w Nr. 3: „Szarada."

OGŁOSZENIA.

☞ *Do dzisiejszego numeru dołącza się prospekt na dzieło p. Konstantynowicza, p. t.: „Wykład wskazujący, jak należy uczyć czytać i pisać po polsku."*

☞ ***Drukujące się obecnie w „KWIATACH" „Szkice z życia artystów" — przez WINCENTEGO POLA, wyjdą w osobnych odbitkach, nakładem redakcji „KWIATÓW." Jesteśmy pewni, że zrobimy Publiczności czytającej prawdziwą przyjemność, podając jej nową książkę znakomitego autora.***

☞ ***Równocześnie z przedpłatą na „KWIATY, przesłać można prenumeratę na dwutygodnik illustrowany, ludowy: „WŁOŚCIANIN." Prenumerata roczna 4 złr. w. a., półroczna 2 złr. w. a., kwartalna 1 złr. w. a. Prenumeratorowie składający całoroczną przedpłatę, otrzymają na premium portret T. Kościuszki, z końcem lutego b. r.***

Czesław Pieniążek odpowiedzialny redaktor, właściciel i wydawca.
W. hr. Bobrowski współredaktor.

W Drukarni „CZASU" *W. Kirchmayera.* Rządzca Drukarni *Józef Łakociński.*